

# JULIAN FELLOWS

POWIEŚĆ TWÓRCY *DOWNTON ABBEY*



## SNOBY

PRZEŁOŻYŁA BARBARA KOPEĆ-UMIASTOWSKA

MARGINESY



JULIAN  
FELLOWES

SNOBY

PRZEŁOŻYŁA  
BARBARA KOPEĆ-UMIĄSTOWSKA

MARGINESY

*Oczywiście dla Emmy i Peregrine'a,  
ale również dla najdroższego Micky'ego,  
bez którego ta książka nie byłaby możliwa*

*Snobs*

COPYRIGHT © Julian Fellowes 2004  
FIRST PUBLISHED IN GREAT BRITAIN IN 2004 BY  
Weidenfeld & Nicolson, London.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Barbara Kopeć-Umiastowska  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY WYDAWNICTWO MARGINESY,  
WARSZAWA 2017

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Impetuoso – fiero*<sup>1</sup>

<sup>1</sup> *Impetuoso – fiero* (wł.) – „gwałtownie – wyniośle”, w muzyce określenia dotyczące sposobu wykonania utworu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki lub redaktora).

Dokładnie nie wiem, jak to się stało, że Isabel Easton wzięła pod swoje skrzydła Edith Lavery. Być może miały wspólną znajomą albo zasiadały w tym samym Komitecie, albo po prostu chodziły do tej samej fryzjerki. Pamiętam tylko, że Isabel niemal od razu uznała, iż Edith stanowi dla niej swego rodzaju zdobycz, że jest kimś specjalnym, kogo można dozować sąsiadom na wsi w niewielkich porcjach. Oczywiście bieg wypadków potwierdził, że miała rację, chociaż kiedy pierwszy raz spotkałem Edith, nie widziałem jakichś przytłaczających tego dowodów. Niewątpliwie była bardzo ładna, jednak nie tak ładna jak później, kiedy – jak to mówią dizajnerzy – odnalazła swój styl. Blondynka o dużych oczach i nienagannych manierach była po prostu wspaniałym przykładem konkretnego angielskiego typu.

Z Isabel Easton, którą znałem od czasów wspólnego dzieciństwa w Hampshire, łączyła mnie miła, niewymagająca przyjaźń oparta wyłącznie na długowieczności. Mieliśmy ze sobą niewiele wspólnego, z drugiej jednak strony liczba ludzi, którzy pamiętają, jak mając dziewięć lat, jeździliśmy na kucyku, jest coraz mniejsza, więc nasze spotkania, mimo że nieczęste, stanowiły dla obojga swoją pociechę. Po ukończeniu studiów na uniwersytecie zająłem się teatrem, podczas gdy Isabel wyszła za maklera giełdowego i zamieszkała w Sussex, toteż nasze drogi rzadko się przecinały. Niemniej Isabel sprawiało pewną frajdę, że może czasem gościć u siebie aktora, i to takiego, którego widuje się w telewizji (choć tak

się dziwnie składało, że żaden jej znajomy nigdy go nie widział). Dla mnie zaś było przyjemnością spędzenie weekendu na wsi z towarzyszką dziecięcych zabaw.

Akurat byłem w Sussex, kiedy Edith przyjechała tam po raz pierwszy, toteż mogę poświadczyć, że Isabel powitała nową przyjaciółkę z ogromnym entuzjazmem, co zresztą wielu mniej wielkodusznych znajomych podawało później w wątpliwość. Jednak uczucie Isabel było najzupełniej szczerze: „Wokół niej będzie się działo. Ma w sobie to coś” – zapowiadała, gdyż bardzo lubiła używać sformułowań, które wskazywały, że znane jej są wewnętrzne mechanizmy rządzące światem. Ktoś wprawdzie mógłby powiedzieć, że kiedy ujrzałem Edith wysiadającą z samochodu pół godziny później, bynajmniej nie odniosłem wrażenia, że ma „to coś” – no, może z wyjątkiem urody i dość pociągającego, leniwego wdzięku – jednak byłem skłonny przyznać rację mojej gospodyni. Patrząc wstecz, chyba dostrzegłem zapowiedź przyszłych wydarzeń w wyrazistych ustach Edith o precyzyjnie zarysowanych, niczym diamentem wyciętych wargach, takich, jakie kojarzą się z aktorkami z lat czterdziestych. No i ta jej cera. Dla Anglików komplement dotyczący cery z reguły stanowi ostatnią deskę ratunku, pochwałę wygłaszaną, gdy poza tym już naprawdę nie ma czego chwalić; piękna cera to coś, co często się podkreśla, mówiąc o brzydszych członkach rodziny królewskiej. Wszystko to prawda, niemniej Edith Lavery istotnie wyróżniała się wspaniałą cerą, najpiękniejszą, jaką widziałem w życiu – chłodne, jasne pastele pod nieskazitelnie gładką woskową powłoką. Przez całe życie miałem słabość do ładnych ludzi, dzisiaj więc sądzę, że zacząłem sprzyjać Edith z chwilą, gdy ujrzałem jej twarz. W każdym razie Isabel dołożyła starań, by jej prorocтво się spełniło, gdyż to ona osobiście zabrała Edith do Broughton.

Dwór Broughton Hall, a w gruncie rzeczy cały ród Broughtonów, stanowił przykrą i nieusuwalną skazę na gładkiej jak marmur egzystencji Eastonów w Sussex. Od niepamiętnych czasów jakiś Broughton – najpierw z tytułem barona, następnie hrabiego,

a od 1879 roku markiza Uckfield – cieszył się w tym wschodnim zakątku hrabstwa potężnymi i przemożnymi wpływami. Niewiele ponad sto lat temu sąsiedzi i wasale Broughtonów byli najczęściej podrzędnymi farmerami na bagnistych poletkach pogórza Sussex, z trudem wiążącymi koniec z końcem, później jednak, na skutek rozwoju dróg i kolei żelaznych, a także wynalazku weekendu na wsi, napłynęła w te strony fala *haute bourgeoisie*<sup>1</sup>, tłumnie przybywającej w poszukiwaniu *ton*<sup>2</sup>. Broughtonowie, na podobieństwo Byrona, z dnia na dzień obudzili się sławni<sup>3</sup> i niebawem obecność na ich liście gości stała się w okolicy chlubną oznaką „dopuszczenia”. Muszę wszakże uczciwie przyznać, że rodzina nie szukała rozgłosu i nie dążyła do celebryctwa, w każdym razie nie na początku; byli to po prostu główni przedstawiciele *anciens riches*<sup>4</sup> w okolicy, która akurat przeżywała burzliwy awans społeczny, więc ranga ta została im poniekąd narzucona.

Mieli szczęście również pod innymi względami. Dwa owocne związki małżeńskie – jeden z córką bankiera, drugi z dziedziczką sporej części San Francisco – pozwoliły im bezpiecznie przeprowadzić nawet rodziną przez odmęty kryzysu rolnego oraz Wielkiej Wojny. W odróżnieniu od wielu innych rodów zachowali prawie wszystkie domy w Londynie, a dzięki dalszym sprytnym posunięciom na rynku nieruchomości w latach sześćdziesiątych pomyślnie dobili do względnie spokojnej przystani Wielkiej Brytanii pod rządami pani Thatcher. Szczęśliwym trafem kolejne przegrupowania socjalistów zaowocowały powstaniem New Labour,

<sup>1</sup> *Haute bourgeoisie* (franc.) – wyższa, najzamożniejsza warstwa mieszczaństwa.

<sup>2</sup> *Ton* (franc.) – tu w znaczeniu: ogłada towarzyska, maniery, styl.

<sup>3</sup> Aluzja do znanego zdania z pamiętnika George’a Gordona Byrona zapisanego po niespodziewanym sukcesie jego *Wędrowek Childe Harolda*: „Obudziłem się pewnego ranka i odkryłem, że jestem sławny”.

<sup>4</sup> *Anciens riches* (franc.) – stara szlachta i plutokracja dziedzicząca majątek po przodkach, w przeciwieństwie do nowobogackich (*nouveaux riches*).

ugrupowania o wiele bardziej wyrozumiałego dla klas wyższych aniżeli ich zachłanni polityczni poprzednicy. W efekcie Broughtonowie awansowali do roli symbolu angielskiego rodu, któremu udało się „przetrwac” i wkroczyć w lata dziewięćdziesiąte z nienaruszonym prestiżem oraz, co istotniejsze, z nietkniętym stanem posiadania.

Problem Eastonów nie na tym oczywiście polegał. Rodzinne przywileje nie budziły ich zazdrości, przeciwnie, otaczali je wręcz nabożną czcią. Nie, ich kłopot był innego rodzaju – oto, mieszkając zaledwie dwie mile od Broughton Hall (podczas lunchów z koleżankami na Walton Street Isabel przechwalała się, jakie to szczęście mieć Broughtonów „na wyciągnięcie ręki”), przez trzy i pół roku nie udało im się postawić stopy we dworze ani nawet spotkać niko z zamieszkującej go rodziny.

Oczywiście David Easton nie był pierwszym Anglikiem z klasy średniej, który odkrył, że arystokratyczne pochodzenie łatwiej udawać w Londynie aniżeli na prowincji. Problem polegał na tym, że po wielu latach nieustannego pomstowania – podczas lunchów u Brooksa, sobót na wyścigach i wieczorów w klubie Anna-bel’s – na współczesne społeczeństwo socjalnego awansu w końcu przestał dostrzegać, że sam jest jego wytworem. Zupełnie zapomniał, że jego ojciec jako dyrektor niewielkiej fabryki mebli w środkowej Anglii z ogromnym trudem sfinansował jego naukę w Ardingly. W chwili, gdy go poznałem, był już na tym etapie, że zapewne wielce by się zdumiał, nie znajdując swojego nazwiska w almanachu Debretta<sup>1</sup>. Pamiętam, że gdy zacytowałem Roddy’ego Llewellyna<sup>2</sup>, który w jakiejś gazecie narzekał, że w przeciwieństwie do starszego

<sup>1</sup> Almanach Debretta – wydawnictwo poświęcone brytyjskim tytułom arystokratycznym i historii rodów szlacheckich, stworzone w 1769 roku przez Johna Debretta.

<sup>2</sup> Sir Roderic Victor „Roddy” Llewellyn (ur. 1947) – brytyjski baronet, projektant ogrodów, dziennikarz i prezenter telewizyjny, znany z ośmioletniego związku z księżniczką Małgorzatą, młodszą siostrą królowej Elżbiety II.

brata nie chodził do Eton, gdzie zawiera się przyjaźnie na całe życie, przechodzący obok David skwapliwie przytaknął: „Racja. Czuję dokładnie to samo”. Zerknąłem przez pokój, aby pochwycić wzrok Isabel, skinęła mi jednak głową w taki sposób, że od razu pojąłem, iż przynajmniej w tej sprawie niewątpliwie opowie się po stronie swojego męża.

Osobom z zewnątrz może się wydawać, że podtrzymywanie złudzeń partnera jest nieodzownym składnikiem udanego pożycia małżeńskiego. David, który dzięki życzliwej postawie Isabel – a także abnegacji londyńskich gospodyń, które troszczą się tylko o to, by ich goście gadali i jedli – dotychczas żył jak pod kloszem, teraz musiał siedzieć przy eleganckich stołach i wysłuchiwać pytań o podróz Charlesa do Włoch albo o to, jak sprawdza się nowy mąż Caroline. W odpowiedzi mógł jedynie wymamrotać, że właściwie Broughtonów nie zna, toteż jego gorycz zaiste musiała być wielka. „Coś takiego! – dziwił się wówczas interlokutor. – Sądziłem/am, że jesteście sąsiadami”. Ale nawet w tym wyznaniu Davida kryło się ziarno nieuczciwości, gdyż nie tyle nie znał Broughtonów „właściwie”, ile nie znał ich wcale.

Pewnego razu, kiedy na jakimś przyjęciu koktajlowym na Eaton Square poważyl się na opinię o sąsiadach, jego rozmówca zapytał: „Ale czy to nie Charles tam stoi? Musisz mnie przedstawić, zobaczymy, czy pamięta, kiedyśmy się poznali”. I David był zmuszony skłamać, że bardzo źle się czuje (poniekąd zgodnie z prawdą), po czym czmychnął do domu, rezygnując z kolacji, na którą wszyscy się wybierali. Przyjął więc strategię zbywania wszelkich wzmianek o Broughtonach lekkim lekceważeniem. Stał trochę z boku, przysłuchując się rozmowom, i ostentacyjnie milczał, jakby to on, David Easton, wolał Broughtonów nie znać; jakby spróbował tej znajomości i uznał, że nie przypadła mu do gustu, chociaż nic nie było dalsze od prawdy. Trzeba uczciwie przyznać, że David nie był chyba do końca świadomy, jak dalece frustrują go te niezaspokojo-ne ambicje towarzyskie. Z pewnością my mieliśmy pozostać tego

nieświadomi – tak przynajmniej pomyślałem, patrząc, jak zapina kurtkę myśliwską i gwizdże na swoje psy.

Wizytę we dworze, jak się okazało dość dla siebie fortunnie, zaproponowała Edith. Przy sobotnim śniadaniu Isabel zapytała, co chcemy robić, na co Edith zaczęła się zastanawiać, czy nie ma w okolicy jakiejś historycznej rezydencji, i co my na to? Zerknęła na mnie pytająco.

– Nie mam nic przeciwko temu – odparłem.

Zobaczyłem, jak Isabel obrzuca spojrzeniem Davida, który siedział przy drugim końcu stołu pogrążony w lekturze „Telegraph”. Znałem i rozumiałem ich sytuację z Broughtonami, chociaż jako rasowi Anglicy nigdy nie zamieniliśmy na ten temat ani słowa. Tak się złożyło, że ja sam zdążyłem już poznać Charlesa Broughtona, dość niezgrabnego dziedzica rodu, którego kilka razy spotykałem w Londynie na owych hybrydowych wieczornych imprezach, gdzie Biznes spotyka się ze Sztuką, lecz na podobieństwo konfluencji dwóch rzek oba żywioły nieczęsto się mieszają. Nie chcąc sypać soli na rany, nie zwierzyłem się Isabel z tej znajomości.

– David? – zapytała.

Jej mąż szerokim, niefrasobliwym gestem przewrócił stronicę gazety.

– Jedźcie, jeśli chcecie. Ja muszę wybrać się do Lewes. Sutton znowu zgubił zakrętkę wlewu paliwa do kosiarki. On je chyba pożera.

– Mogę to załatwić w poniedziałek.

– Nie, nie. I tak muszę kupić naboje. – Uniósł wzrok. – Ale wy jedźcie, naprawdę.

W jego oczach załśnił wyrzut, Isabel wszakże uporała się z tym, robiąc lekki grymas, jakby działała trochę wbrew swej woli. Prawda była taka, że zawarli niepisaną umowę, iż nigdy nie będą zwiedzać pałacu w roli „publiczności”. David początkowo nie chciał tego robić, bo liczył na to, że wkrótce pozna Broughtonów prywatnie, a byłoby niezręcznie zaczynać znajomość z niewłaściwej strony barierek. Ale w miarę upływu lat i rosnącego rozczarowania odmowa zwie-

dzania domu stała się dla niego nieledwie zasadą, jakby nie chciał dać Broughtonom satysfakcji, płacąc za coś, co przecież należało mu się za darmo. Isabel, bardziej pragmatyczna od męża, przyzwyczaiła się już do myśli, że pozycja wśród miejscowej socjety na razie pozostaje dla nich nieosiągalna, teraz więc była po prostu ciekawa, jak wygląda miejsce, które stało się dla nich symbolem braku towarzyskiej siły przebicia. Po krótkich namowach władowaliśmy się zatem we trójkę do jej poobijanego renaulta i ruszyliśmy w drogę.

Zapytałem Edith, czy zna Sussex.

– Właściwie nie. Kiedyś miałam przyjaciela w Chichester.

– Na modnym końcu.

– Ach tak? Nie wiedziałam, że hrabstwa miewają modne końce. To bardzo po amerykańsku. Jak dobre i złe stoliki w tej samej restauracji.

– Byłaś w Ameryce?

– Spędziłam kilka miesięcy w Los Angeles po skończeniu szkoły.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? – zaśmiała się Edith. – Dlaczego człowiek robi cokolwiek w wieku lat siedemnastu?

– Nie wiem, po co jeździć aż do Los Angeles. Chyba że człowiek chce zostać gwiazdą filmową.

– Może ja chciałam zostać gwiazdą filmową.

Uśmiechnęła się do mnie z wyrazem lekkiego smutku, który nauczyłem się później rozpoznawać jako dla niej typowy, i zobaczyłem, że inaczej, niż początkowo sądziłem, jej oczy nie są niebieskie, lecz mglistoszare.

Skręciliśmy między dwa monumentalne kamienne przesła, zwieńczone ołowianymi głowami jeleni z porożem, i wjechaliśmy na szeroki żwirowy podjazd. Isabel zatrzymała samochód.

– Czy to nie wspańiałe? – zawołała.

Przed nami widniała ogromna bryła Broughton Hall. Edith uśmiechnęła się, udając entuzjazm; podobnie jak ja, wcale nie uważała domu za wspańiały. Niemniej na swój sposób robił wrażenie,



gdyż niewątpliwie był bardzo duży, jakby zaprojektował go osiemnastowieczny odpowiednik Alberta Speera. Składał się z głównego budynku, ogromnego sześcianu z granitu, i dwóch bocznych, mniejszych sześcianów połączonych z głównym gmachem toporną, przysadzistą kolumnadą. Niestety, jeden z dziewiętnastowiecznych Broughtonów pozbawił wszystkie okna słupków i szprosów, wstawiając zamiast nich tafle pancernego szkła, które teraz otwierały na park ślepe, ciemne oczodoły. Sterczące w narożnikach krępe kopuły przywodziły na myśl wieże strażnicze w obozie jenieckim. Ogólnie rzecz biorąc, pałac nie tyle domykał perspektywę, ile ją zasłaniał.

Samochód zatrzymał się z miłym chrzęstem.

– Najpierw zwiedzamy dom czy ogród? – Isabel, niczym sowiecki inspektor wizytujący główną siedzibę NATO w latach sześćdziesiątych, była zdecydowana niczego nie przeoczyć.

– A w środku jest co oglądać? – zapytała Edith.

– Och, sądzę, że tak – odrzekła Isabel, krocząc stanowczo ku drzwiom oznaczonym „Wejście”, przycupniętym w ciężkich objęciach półkolistych schodów prowadzących na *piano nobile*<sup>1</sup>. Wchłonął ją omszały granit, a my pokornie podążyliśmy za nią.

Później Edith szczególnie lubiła opowiadać o tym, że po raz pierwszy ujrzała Broughton Hall z pozycji osoby zwiedzającej, która zapłaciła za bilet, odgradzonej czerwonym sznurem od intymnego życia dworu. „Chociaż – dodawała ze swoim dziwnym uśmieszkiem – nie można powiedzieć, żeby tam kwitło życie intymne”. Istnieją domy do tego stopnia przesiąknięte osobowością ludzi, którzy je zbudowali, zapachem życia, które toczyło się tu przedtem, że gość czuje się jak coś pośredniego między włamywaczem a duchem, jak natrętny podglądacz cudzych sekretów. Broughton Hall do nich nie należał. Do ostatniego kwiatonu i kapitelu został zaprojektowany wyłącznie w jednym celu: by robić wrażenie na przybyszach. Z tą

<sup>1</sup> *Piano nobile* (wł.) – w pałacach kondygnacja (przeważnie parter lub pierwsze piętro) mieszcząca reprezentacyjne pomieszczenia budowli.

jedyną różnicą, że obecnie przybysze kupowali bilety zamiast dawać napiwki klucznicy.

Jednakże w oczach współczesnego gościa splendor paradnych sal dawno już przygasł, a wilgotne pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy (później dowiedziałem się, że nazywane jest Dolnym Holem), było mniej więcej tak przytulne jak pusty stadion. Pod ścianami stały twarde krzesła dla lokajów, przywołujące wizję niezliczonych godzin nudnego wyczekiwania; środkiem poplamionej kamiennej posadzki ciągnął się długi czarny stół. Nie było tu żadnych obrazów z wyjątkiem czterech brudnych pejzaży Wenecji, dalekich popłuczyn po Canaletcie. Niemniej hol, tak jak wszystkie sale, był przepastny i czuliśmy się w nim jak rodzina Pożyczalskich<sup>1</sup>.

– No cóż, najwyraźniej nie wierzą w łagodną perswazję – mruknęła Edith.

Ścisnąc w dłoniach przewodniki, wstąpiliśmy na Wielkie Schoody, których rzeźbione dębowe stopnie wznosiły się spiralnie wokół masywnej i dość ponurej figury umierającego niewolnika. Szeroki podest na pierwszym piętrze prowadził do olbrzymiej Sali Marmurowej, komnaty o podwójnej wysokości, otoczonej ze wszystkich stron galerią. Wchodząc zewnętrznymi półkolistymi schodami, trafilibyśmy właśnie do tej sali, aby następnie (zapewne zgodnie z intencją) zemdleć z wrażenia. Przeszliśmy do równie olbrzymiego Salonu, którego ściany, zwieńczone mahoniowym gzymsem ze złoceniami, pokrywała szkarłatna flokowana tapeta.

– Dla mnie kurczak *tikka*, proszę – powiedziała Edith.

Roześmiałem się. Miała absolutną rację; sala wyglądała jak gigantyczna indyjska restauracja.

Isabel otworzyła przewodnik i zaczęła czytać głosem nauczycielki geografii:

<sup>1</sup> Pożyczalscy – bohaterowie serii powieści dla dzieci angielskiej pisarki Mary Norton (1903–1992), maleńkie istoty żyjące w zakamarkach ludzkich domów.

„W Salonie wciąż zachowała się oryginalna tapeta, jeden z głównych cudów wystroju Broughton Hall. Stojące tu połączane pod ręczne stoliki w 1739 roku zamówiono w pracowni Williama Kenta specjalnie do tego wnętrza. Morskie motywy oprawy luster z rżniętego kryształu powstały z okazji mianowania trzeciego hrabiego ambasadorem Korony w Portugalii w 1737 roku. Sam hrabia został upamiętniony na portrecie Jarvisa, który wraz z towarzyszącym portretem hrabiny wisi nad kominkiem wykonanym z włoskiego marmuru”.

Spojrzeliliśmy na obrazy. Portret lady Broughton, namalowany zapewne z aspiracjami do pewnej wesołości, przedstawiał młodą damę o grubo ciosanych rysach na tle ukwieconego wzgórze, trzymającą letni kapelusz w dużej dłoni.

– Do mojej siłowni chodzi jedna pani, która wygląda dokładnie tak samo – powiedziała Edith. – Wciąż usiłuje mi sprzedać losy na loterię konserwatystów.

„Serwantka na środku południowej ściany – ciągnęła monotonicznie Isabel – to mebel Boulle’a, dar żony delfina Francji, Marii Józefy Saskiej, dla narzeczonej piątego hrabiego z okazji ślubu. Pomiędzy oknami...”

Przesunąłem się ku wysokim oknom i spojrzałem z góry na park. Był jeden z owych gorących, parnych sierpniowych dni, gdy drzewa wydają się przeciążone liśćmi, a bujna zieleń krajobrazu jest duszna i pozbawiona powietrza. Wtem ujrzałem, że z za rogu budynku wyłania się jakiś mężczyzna. Pomimo upału ubrany był w sztruksy i tweedy oraz jeden z tych nieznośnych małych kapelusików, które mieszkający na wsi Anglicy uważają za zawadiackie. Gdy spojrzał w górę, zobaczyłem, że to Charles Broughton. Najpierw musnął mnie wzrokiem, ale zaraz przystanął i przyjrzał mi się uważnie. Widząc, że mnie poznaje, uniosłem dłoń na powitanie, on zaś skinął mi głową i ruszył dalej do swoich spraw.

– Kto to? – Edith stała tuż za mną, porzuciwszy Isabel i jej przemowy.

– Charles Broughton.

– Syn właściciela domu?

– Jedyny, jak sądzę.

– Zaprosi nas na podwieczorek?

– Nie przypuszczam. Spotkałem go dokładnie dwa razy.

Charles nie zaprosił nas na podwieczorek i z pewnością w ogóle by o mnie nie pomyślał, gdybyśmy na niego nie wpadli, wracając do samochodu. Właśnie skończył rozmawiać z jednym z licznych ogrodników krzątających się po posiadłości i natknął się na nas na dziedzińcu.

– Dzień dobry – rzekł przyjaźnie. – Co ty tu robisz? – Wyraźnie zapomniał, jak się nazywam i skąd mnie zna, ale uprzejmie zaczął, aż przedstawię go pozostałym.

Isabel, osłupiała na skutek nagłego i niespodziewanego przedostania się do krainy spełnionych marzeń, gorączkowo usiłowała wymyślić jakieś zdanie, które wczepione w umysł Charlesa niczym fascynujący rzep spowodowałoby natychmiastowy rozkwit bliskiej przyjaźni. Ale nie miała natchnienia.

– On mieszka u nas. Dwie mile stąd – oznajmiła rzeczowo.

– Naprawdę? Często tu bywacie?

– Mieszkamy tu przez cały czas.

– Aha – powiedział Charles i zwrócił się do Edith. – Pani też jest miejscowa?

– Proszę się nie martwić. – Uśmiechnęła się. – Nie jestem groźna. Mieszkam w Londynie.

Roześmiał się i jego mięsista, rubaszna twarz przez chwilę wyglądała niemal atrakcyjnie. Zdjął kapelusz, ukazując jasne włosy w stylu Ruperta Brooke’a, z typowymi dla angielskiego arystokraty loczkami na karku.

– Mam nadzieję, że dom wam się spodobał.

Edith milczała z uśmiechem na ustach, pozostawiając Isabel głupie czytanki z przewodnika.

Zlitowałem się.

– Powinniśmy już jechać – powiedziałem. – David pewnie się zastanawia, co się z nami dzieje.

Pośród ukłonów i uśmiechów podaliśmy sobie ręce i kilka minut później byliśmy już w drodze.

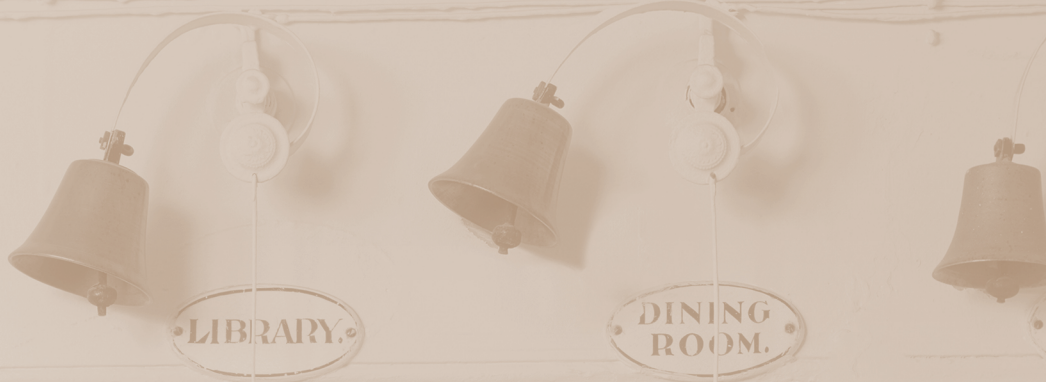
– Nigdy nie mówiłeś, że znasz Charlesa Broughtona – rzekła Isabel bezbarwnie.

– Bo nie znam.

– No, w każdym razie nigdy nie mówiłeś, że go kiedyś spotkałeś.

– Nie?

Chociaż naturalnie wiedziałem, że nie mówiłem. Przez resztę drogi Isabel nie odezwała się ani słowem, Edith zaś odwróciła się ku mnie na fotelu pasażera i wymówiła bezgłośnie: „No to już koniec!”. Było jasne, że się naraziłem; Isabel do końca weekendu traktowała mnie z wyraźnym chłodem.



Ojciec Edith to odnoszący umiarkowane sukcesy księgowy, jej ambitna matka cierpliwie wspina się po drabinie społecznej. Traf chce, że podczas wizyty u rodziców dziewczyna spotyka hrabiego Charlesa Broughtona, który – zgodnie z tym, co piszą plotkarskie magazyny – jest jednym z najciekawszych młodych arystokratów.

Kiedy się jej oświadcza, ta zgadza się za niego wyjść. Ale czy chodzi o miłość, czy o pozycję i całą resztę? I czy matka Charlesa, przebiegła lady Uckfield, ma rację, sądząc, że Edith bardziej interesuje się tytułem hrabiny, niż byciem dobrą żoną jej syna? Gdy w posiadłości zjawia się ekipa telewizyjna, a wraz z nią obłędnie przystojny aktor, najgorsze lęki lady Uckfield wydają się w pełni uzasadnione.

*Snohy są tym wszystkim, co pragnie się dostać od autora Gosford Park. Ta książka aż ocieka od wybornych smaczków z życia dobrze urodzonych i niuansów angielskiego życia. To wręcz grzeszna uczta. Powieść w cudowny sposób mówi o moralności, ale nie moralizuje, i ani na minutę nie traci swojej rozkosznie wdzięcznej bezwstydnosci w portretowaniu wyższych sfer.*

---

STEPHEN FRY

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL IIII

w sprzedaży także



cena 37,90 zł